

po godzinach



Kiedy w 2007 roku przemierzałem Sahel, nie przypuszczałem, że historię tej podróży pozna ktoś jeszcze poza moją rodziną i garstką przyjaciół. Nie była to moja ani pierwsza, ani ostatnia wyprawa do Czarnej Afryki. Jestem przekonany, że wiele innych zasługiwałoby na osobną relację. „Szkatułka”, choć opowiada o podróży, nie jest wyłącznie książką podróżniczą, jest wędrowką w głąb

kultury i historii Sahelu. Dlaczego tę książkę napisałem? Przede wszystkim dlatego, że Afryka i jej dziedzictwo nie są w Polsce znane. Nie pamiętamy, że na południe od Sahary rozwijały się wielkie i silne twory państwowe, rozkwitły cywilizacje. Nie wiemy, jak ważny dla historii świata był rozwój myśli naukowej w uniwersyteckim mieście Timbaktu, jak znaczący dla losów kontynentu był

handel transsaharyjski, architektura glinianych domów, rozwój muzyki tradycyjnej. Chciałbym zwrócić uwagę na Sahel i dokonania tej krainy. Prognie przypomnieć historię europejskich wypraw. Dziś lepiej rozumiem pierwszych eksploratorów. Afryka musiała ich kusić i fascynować, tak jak zafascynowała mnie dwieście lat później.
prof. dr hab. n. med. Miroslaw Kowalski

Gdy zakładam plecak, nie zdejmuję fartucha

Podróżnik, felietonista, pisarz, fotografik, pianista, poliglota... Rozmawiamy z prof. dr. hab. n. med. Miroslawem Kowalskim, zastępcą kierownika Kliniki Wrodzonych Wad Serca Instytutu Kardiologii w Warszawie o jego wielu pasjach i próbie pogodzenia ich z pierwszą i najważniejszą — medycyną.

Czy zawsze chciał pan być lekarzem?

Tak, ten pomysł pojawił się we wczesnym dzieciństwie, gdy miałem 7-8 lat. Pamiętam, że pierwsze rozmowy z rodzicami, jakie odbywałem na temat swojej przyszłości, mocno wiodły w stronę medycyny. Skąd u mnie narodził się pomysł zostania lekarzem, jest tajemnicą. W rodzinie nie było lekarzy. Rodzicom bardzo podobał się ten pomysł. Przez cały okres mojej edukacji szkolnej wspierał mnie i nie zwątpił, że pozostanę przy wyborze z dzieciństwa. U mnie natomiast pojawiło się zaważanie, i to w krytycznym momencie, bo w klasie maturalnej. Była to klasa o profilu biologiczno-chemicznym, więc ukierunkowana na nauki biologiczne i medyczne. Część moich kolegów szła na medycynę, a ja właśnie w 4. klasie szkoły średniej trochę się zniechęciłem. Wydawało mi się, że to jednak nie jest zawód dla mnie, że powinienem pójść w inny kierunek. Poczułem, że fascynuje mnie świat. Narodził się we mnie lekkodusz i widać oddziaływanie. Zdobycia stabilnego zawodu mocno się oddaliła. Jednak na krótko. Pamiętam dorosłe, poważne rozmowy z udziałem rodziców, wujków, stryżków, ludzi, których cenilem i lubilem. Wszyscy utwierdzali mnie w pierwotnym wyborze, dopingowali, żebym nie rezygnował i przynajmniej podjął próbę. I tak się stało. Złożyłem podanie na wydział lekarski warszawskiej uczelni.

Oprócz pasji, jaką jest medycyna, ma pan wiele innych. Czy możliwe jest ich pogodzenie?

Godzenie pasji to były i ciągle są dla mnie tortury. Człowiek, który poza medycyną chce czegoś więcej, jest skazany na konflikt wewnętrzny. Medycyna jest fascynująca. Nigdy nie traktowałem dziedzin medycznych jako nieciekawych czy nudnych. Uczyłem się ich z ogromnym zainteresowaniem. Wybór specjalizacji to jeszcze inna historia. Pragnąłem wejść w życie lekarza, mając szeroki fundament chorób wewnętrznych. Kardiologia była ich zwieńczeniem. Konflikt jednak między medycyną i pasjami pozamedycznymi nieustannie we mnie narastał.

Pamiętam początek pracy w Instytucie Kardiologii w drugiej połowie lat 80. Był to czas zdobywania doświadczeń lekarskich, pierwszych dyżurów, stażów specjalizacyjnych, egzaminów. Próbowiałem dawać sobie w tym wszystkim radę. Ale obok medycyny pojawiały się rzeczy, które kusily i to bardzo. Warszawa miała zawsze szeroką ofertę życia kulturalnego. Niemal co tydzień biegaliśmy do Filharmonii Narodowej. Konkursy Chopinowskie były dla mnie niezwykłym świętem. W październiku 1990 i 1995 roku próbowałem w jakiś sposób uciec od Instytutu Kardiologii, wziąć 3-tygodniowy urlop i przesiadzić go w filharmonii. Zresztą w dużej mierze mi się to udawało. Było to dla mnie niesamowitym przeżyciem. Muzyka brzmiała mi w głowie. Porównywałem wykonania, typowałem faworytów, żyłem Chopinem.

We wczesnych latach lekarskich były też inne aktywności. Lubilem literaturę, języki obce. Miałem ogromną pokusę, żeby poza językiem angielskim, któremu zawsze poświęcałem sporo czasu, rozpocząć na poważnie naukę kolejnego języka. Wybór padł na hiszpański. Zapisalem się na kurs w Towarzystwie Wiedzy Powszechnej w Pałacu Kultury i Nauki, wieczorami chodziłem na zajęcia. Ten język towarzyszy mi do dzisiaj, zresztą ogromnie mi pomógł w podróżach do strefy hiszpańskojęzycznej. Jako trzeci poja-

O KIM MOWA

Prof. dr hab. n. med. Miroslaw Kowalski jest autorem wystawy fotograficznej „Iran — spokojne spojrzenie” w Muzeum Ziemi PAN oraz książki „Szkatułka pełna Sahelu — subsaharyjska ballada”. Pasjonuje go muzyka klasyczna. Jest absolwentem Szkoły Muzycznej i stopnia. Gra na fortepianie.

wił się język francuski. W ostatnich 10 latach znacznie go poprawilem. Wcześniej podchodziłem do niego z bojażnią. Uważałem, że języka z tak trudną fonetyką i pisownią nie nauczę się. Teraz, po latach prób, również i ten język staje mi się coraz bliższy. Nauka nawet dzisiaj bardzo mnie cieszy.

Wiemy, że pan podróżuje. Jak wiele krajów już pan odwiedził?

Moje podróże rozpoczęło się na studiach medycznych, doskonale to pamiętam. Moim wczesno-dziecięcym marzeniem, poza byciem lekarzem, było odwiedzenie Egiptu. Nie wiem, dlaczego akurat tego, może to wpływ filmu „W pustyni i w puszczy”, może jakichś relacji, na które natknąłem się jako dorastający chłopiec. Pamiętam, że kupiłem w kiosku „Ruchu” małą broszurkę Krajowej Agencji Wydawniczej poświęconą Egiptowi. Na kilkunastu stronach zawierała opis jego zabytków. To, co przeczytałem, tak mnie urzekło, że postanowiłem tam w przyszłości pojechać. Oznajmiłem to nawet rodzicom. Oni chyba nie traktowali zbyt poważnie mojej zapowiedzi.

Marzenie jednak spełniło się jakieś 10 lat później. Na studiach medycznych pojawiła się szansa wyjazdu na praktykę studencką. Uczelnia przyznała tych praktyk kilkanaście dla wyróżniających się studentów. Moje średnie ocen nie były złe i znalazłem się w grupie potencjalnych kandydatów. Na spotkaniu organizacyjnym większość moich kolegów rozchwytywała praktyki do Włoch, Hiszpanii, Francji. Było tylko jedno miejsce do Egiptu, którego, jeśli dobrze pamiętam, nikt nie chciał. Od razu się zgłosiłem. Odbyłem tę praktykę w szpitalu w mieście niedaleko Aleksandrii, w delcie Nilu. To było niezwykle doświadczenie i coś całkowicie abstrakcyjnego jak na lata 80.

Egipt sporo mnie nauczył. Przeszedłem twarzą szkołę podróżywania. Spędziłem pięć tygodni w środku lata, gdy temperatury, zwłaszcza na południu, w okolicy Karnaku sięgały 45 stopni Celsjusza. Czulem się tam jak w piekle. Dla blondyna o jasnej karnacji, w czasach, gdy nie było kremów z filtrem, taka podróż rozdziła wiele problemów zdrowotnych i, niestety, z tymi problemami nieustannie się zmagalem. Ale w sensie historycznym, kulturowym pobyt tam to było coś fascynującego. Podróż do Egiptu zaszczepiła we mnie pasję. Potem w latach 90., gdy Polska otworzyła się na świat, starałem się swoje urlopy i zaoszczędzone pieniądze w taki właśnie sposób spożytkować — podróżując. Odwiedzonych krajów naliczyłem już ponad 90.

A jaki jest cel najbliższej podróży?

Moja sytuacja osobista jest obecnie trochę inna i nie sprzyja mocno egzotycznym wyprawom. W lutym 2018 roku udało mi się jeszcze zrealizować wyjazd do Parku Narodowego Wirunga w Demokratycznej Republice Konga, parku, który założyli Belgowie w latach 20. XX wieku. Ten park zawsze mnie ciekawił, ponieważ żyją tam goryle górskie. To jest niesamowite miejsce w Afryce. W ogóle Afryka zawsze była dla mnie kontynentem najbardziej kuszącym i odbyłem tam prawie 10 podróży. Dla plecakowego turysty są one najtrudniejsze. W Afryce jest moc zagrożeń: choroby tropikalne, niebezpieczne przyjaźnie nastawiona do białego ludność tubylcza, wreszcie konflikty i niepokoje wewnętrzne, na przykład wojna domowa w Kongu, tocząca się od 20 lat.

W tym roku jednak nie byłem sam. Miałem wsparcie ze strony kolegi (zresztą kardiologa) i pary przyjaciół. Pojechalśmy w czworórkę, realizując dobrze zaplanowaną trasę pomiędzy stolicą Ugandy, Rwandą i wschodnimi prowincjami Konga. Była to bardzo ciekawa i piękna podróż. Jeżeli jednak chodzi o plany, to Czarna Afryka musi poczekać na odleglejszy czas. Albo wręcz uznam, że czuję się usatysfakcjonowany i nie ma co już kusić losu.

Nie tylko pan zwiedza, ale też pisze o tym, co widział.

Zawsze chciałem się dzielić tym, co widziałem i przeżyłem. Pomysł napisania książki zresztą tego dowodzi. Fragment Afryki, który przemierzylem w roku 2007 — Burkina Faso, Niger i Mali — to kraje praktycznie nieodwiedzane przez turystów albo bardzo rzadko, więc skoro udało mi się tam być i poznać bardzo ciekawy kulturowo obszar, to postanowiłem podzielić się w takiej właśnie formie. Książkę pisałem 4 lata. Było to zajęcie realizowane nocami z uwagi na brak czasu, ale realizowane konsekwentnie. Nie żałuję poświęconego czasu i sił. Jestem przekonany, że warto opowiadać, dzielić się z innymi, zwłaszcza tym, co samemu się przeżyło.

Na co dzień dzielimy się emocjami z rodziną, przyjaciółmi, opowiadamy sobie o różnych zdarzeniach, perypetiach. Podróż jednak jest czymś odświętnym. To jest przeciwieństwo przeżywania świata, odkrywanie go. Dobrze, jeśli ktoś o tym się dowie, posucha, przeczyta. Stąd mój pomysł napisania książki. Z tym pomysłem żyłem wiele lat, ale nigdy nie było dobrego momentu na rozpoczęcie pracy. Człowiek jest tak zagoniony w codziennosci, że podjęcie jakiegos nowego wątku wydaje się ogromnym problemem.

Książka pewnie by nie powstała, gdyby nie splot okoliczności. Zazwyczaj wracalem z podróży bezpośrednio do pracy. Nie były to warunki sprzyjające pisaniu. Gdy wróciłem z krajów Sahelu, miałem jeszcze kilka dni urlopu. Ta chwila poświęcona odpoczynkowi i regeneracji, spędzona w domu rodziców, zrodziła pomysł pisania. Nie musiałem się o nic troszczyć, mogłem swobodnie zbierać myśli, porządkować je i pisać. Wciągnęło mnie to tak bardzo, że nie byłem w stanie się oderwać. Pędziłem do domu późnym wieczorem po to, żeby przynajmniej przez godzinę pisać. Każdy kolejny akapit sprawiał mi ogromną radość. Nawet nie myślałem, kto i gdzie mi tę książkę wyda. Pisałem z chęci tworzenia. Działo się to już w mocno napiętym grafiku, już przeciwie kilka lat po rehabilitacji. Zastanawiałem się tylko, jak to się stało, że doktor habilitowany w powszechnie poważanej medycynie wędruje z plecakiem po świecie, jest szukającym przegód traperem i opisyje, co widzi. Czy to nie zbyt duży dysonans? Do dzisiaj zresztą ten dysonans we mnie tkwi, ale pogodziłem się z nim, uznałem, że to naturalny efekt nalożenia pasji, konfliktów wewnętrznych, jakie się z tym łączą.

Pana publikacje cechuje wrażliwość na otaczający świat. Co pana najbardziej w świecie zachwyca?

To trudne pytanie. Ta wrażliwość jest ukierunkowana na kilka elementów. Na pewno na przyrodę, gdyż część moich celów podróżyczych to były miejsca o niezwykłym bogactwie przyrody. Tutaj można by wymienić chociażby Islandię, kraj na obrzeżach Europy, kiedyś nie za często odwiedzany. Ale też kraje bardziej



FOT. S. K. / P. K. / P. K.

A co z tym odcięciem się od rzeczywistości? Czy lekarz, już profesor, może nagle zniknąć i wyjechać na miesiąc?

Tak było jeszcze 5-10 lat temu. W niektórych krajach dostęp do Internetu był mocno ograniczony. Nie mówię, że go nie było, ale wymagało wiele wysiłku, żeby dostać się do jakiejś kafejki internetowej. Zwykle przesiadywałem tam tłum ludzi, bo miejscowi też chcieli korzystać z Internetu. Wówczas moje możliwości przekazywania jakiejś informacji, sprawdzenia poczty były mocno ograniczone. Teraz jest zupełnie inaczej. Nawet we wspomnianym Kongu był dostęp do Internetu. W hotelu w Gomie nie było wody przez dwa dni, ale Internet działał bez zakłóceń. Można więc korzystać z poczty elektronicznej i w bieżąco utrzymywać kontakt ze światem. Całkowite odcięcie od cywilizacji jest obecnie niemożliwe.

Staram się kontrolować to wszystko, co przychodzi na moją skrzynkę mailową. Zresztą też nie wyjeżdżam już na tak długo, jak 10 lat temu. Wtedy jeszcze podróż do krajów Sahelu mogła trwać 4-5 tygodni. W tej chwili podróż dłuższa niż 3 tygodnie, to naprawdę rarytas. Nie możemy sobie na to pozwolić. Instytut, w którym pracuję, bez zakłóceń niezwykle wymagającym. Dzielimy się obowiązkami. Osoby, które nadzorują pracę oddziału, nie mogą zniknąć na dłuższy okres, gdyż oznaczałoby to naprawdę spore perturbacje.

Czyli ma pan plany podróżnicze do zrealizowania na emeryturze?

Miałem taki pomysł dawno temu i ciągle z nim żyję, żeby odbyć podróż dookoła świata, ponieważ de facto kuli ziemskiej nigdy nie okrążyłem. Pewnie odwiedziłbym wtedy miejsca, w których nigdy nie byłem, próbując coś nowego jeszcze zobaczyć. Ale nie jest to dla mnie jakimś szczególnym priorytetem. W basenie Pacyfiku raz się znalazłem, lądując na niemałym mistycznym Wyspie Wielkanocnej. Czasami sobie myślę, że gdybym nawet nie odwiedził w swoim życiu ani jednego kraju więcej, nie przykreto to nie spowoduje. Czuję się spełnionym podróżnikiem. Staram się znajdować radość i satysfakcję w aktywnościach naszego kręgu kulturowego, w muzyce, pisaniu, już nie mówię o życiu rodzinnym, bo to jest osobna historia.

Nie jest pan uzależniony od adrenaliny, która popycha podróżników do kolejnego wyzwania?

Tak, wielu podróżników tak ma. Ja chyba do końca typowy w tym zakresie nie jestem. Gdy czasami odwiedzam portale podróżnicze, zdumiewa mnie zapal niektórych do zaliczania świata. To jest trochę obce mojej filozofii. Wolę zdecydowanie świat odkrywać, niż zaliczać. Byłem w wielu ciekawych miejscach, na różnych kontynentach, dotknąłem różnych kultur, poznałem wiele cywilizacji, spotkałem ludzi różnych ras, rozmawiałem z nimi, wymieniałem poglądy, wrażenia, obserwacje. Czuję się tym wszystkim mocno usatysfakcjonowany.

Czyli podróżowanie jest sposobem na ciekawe życie?

Tak, jest jednym z wielu sposobów. Ciekawe życie określa przede wszystkim aktywność zawodowa. Jeśli tę aktywność lubimy, to już nie jest tak ważne, czy zagospodarujemy tę część podróży na drugi koniec świata, muzyką czy literaturą. Fakt posiadania takiej części odmienna nas, czyni szczęśliwszymi.

Rozmawiała Małgorzata Konaszczuk

egzotyczne, jak na przykład Madagaskar, gdzie są cudowne parki narodowe, a przyroda po prostu rzuca na kolana. Pewne obszary Czarnej Afryki, wspomniany Park Narodowy Wirunga, to magiczne wręcz tereny, na których człowiek przeżywa kontakt z przyrodą niezwykle mocno. Tam nie trzeba odbywać żadnych spotkań, poznawać ludzi. Przyroda jest bohaterem.

Nie jestem w żadnym wypadku zamknięty na dzieje cywilizacji. Wspomniana podróż do Egiptu była swego rodzaju lekcją i nauką tego, co człowiek w świecie stworzył, jak zagospodarował czas mu przeznaczony. O cywilizacjach na południe od Sahary już mało kto wie. One mnie zafascynowały tak mocno, że postanowiłem o nich opowiedzieć w „Szkatułce pełnej Sahelu”. Warto przywołać chociażby Tuaregów, miasto Timbaktu zakopane w piaskach Sahary, gdzie w XV, XVI wieku powstawały uniwersytety, szkoły koraniczne, artystycznie piękne meczety. Czy kojarzy mi Afrykę z nauką i kulturą? Chyba nie, ale podróż zmieniła nasze postrzeżenie, czegoś nas nauczyła.

Emocje wynikające ze spotkania z odległą cywilizacją były dla mnie zawsze bardzo silne. Tak było też w Indiach, Chinach, Japonii. Po każdym wyjeździe staram się wszystko sobie ułożyć, uporządkować, zastanowić się, jak ten świat, który widziałem, powstał, jak się rozwijał, jak upadł i co ten upadek spowodowało. Tak więc były to dla mnie podróże wartościowe z historycznego, kulturowego punktu widzenia. No i wreszcie człowiek. Nie mogę o nim nie wspomnieć. Kontakt z człowiekiem, reprezentantem jakiejś kultury był i jest dla mnie bezcenny. Tego nie przeżyjemy jako uczestnicy wycieczek zorganizowanych przez biuro podróży. Ja nie chcę takiego sposobu poznawania świata deprecjonować, ale jest to inna turystyka. To turystyka, która nie pozwoli na poznanie człowieka. A to jest wielką wartością. Podróżnik indywidualny staje wobec obcej cywilizacji w pewnym sensie bezbronny. Jest zdany na ludzi przypadkowych, nie na pośredników, pilotów, kogoś kto poprowadzi za rękę. Jesteśmy zdani na ludzi stamtąd, mających jakąś kulturę, jakieś obyczaje. Stąd bierze się cała masa spotkań z nimi. Dla mnie to w podróżywanie jest najcenniejsze. Lubię w podróży pytać. To zresztą pokazałem w książce „Szkatułka pełna Sahelu”, a nawet w felietonach, jakie Państwo publikują. Podróżnik indywidualny może sobie pozwolić na pytania, na dociekliwość. Może nawet pozwolić sobie na swego

rodzaju ignorancję. Dzięki rozmowom poznaje lepiej otaczający go świat, poznaje emocje ludzi. To jest absolutnie niezwykle.

Czy gdy zakłada pan plecak, to zdejmuję pan fartuch lekarski?

Było kilka takich epizodów w moich podróżach, w których byłem lekarzem, przyznawałem się do tego. To były różne historie. Pamiętam, jak całkowicie przypadkowo poznałem kiedyś lekarza w Etiopii. Zaprowadził mnie do szpitala, w którym pracował, w mieście Gonder, w starej stolicy Etiopii. I nagle znalazłem się na oddziale chorób wewnętrznych. Jego zespół miał pokusę, żeby stworzyć pododdział kardiologiczny. A trzeba zaznaczyć, że w Afryce, na południe od Sahary kardiologia praktycznie nie istnieje. Tam jest zupełnie inny profil chorób.

Oczywiście, ludzie chorują na serce, ale to raczej domena społeczeństw bogatszych. Gdybyśmy pojechali jeszcze bardziej na południe, w kierunku na przykład bogatej Botswany czy nawet Republiki Południowej Afryki, to tam choroby układu sercowo-naczyniowego już się pojawiają. Ale bardzo rzadko w krajach takich, jak Uganda, Kongo, Etiopia. W Gonderze pokazali mi sprzęt do diagnostyki ultradźwiękowej serca, którego nikt nie umiał wykorzystać. Utrzymywałem z tym znajomym lekarzem kontakt mailowy jeszcze przez rok. Bardzo mnie namawiał, żebym przyjechał na cykl szkoleń echokardiograficznych dla lekarzy etiopskich. Chciałem, i to bardzo. Ale oznaczałoby to rewolucję w moim życiu zawodowym, konieczność wzięcia urlopu bezpłatnego, zamknięcia gabinetu. Były w tym czasie też ciekawe wyzwania na miejscu, w Warszawie. Człowiek zawsze waży za i przeciw — to, co życiu zawodowym ważniejsze i to, co mniej ważne. Niestety, ten projekt umarł. Ale właśnie wtedy byłem lekarzem.

Zdarzało się też, że kogoś ratowałem. Pamiętam taką sytuację w Angoli, gdzie jakiś chłopiec stracił przytomność na ulicy. Otoczył go tłum ludzi. Stali dookoła i nie bardzo wiedzieli, co mu się stało. Zmieniłem więc rolę, odsunąłem ich, powiedziałem, że jestem lekarzem. Pozwolił mi na sprawdzenie tętna, oddechu. Błyskawicznie zatelefonowano po karetkę. Starałem się udzielić takiej pomocy, jakiej lekarz powinien udzielić w związku na miejsce, w którym się znalazł. Więc to nie jest tak, że podróżując, przestajemy być lekarzami.

Byłem w wielu ciekawych miejscach, na różnych kontynentach, dotknąłem różnych kultur, poznałem wiele cywilizacji, spotkałem ludzi różnych ras, rozmawiałem z nimi, wymieniałem poglądy, wrażenia, obserwacje. Czuję się tym mocno usatysfakcjonowany.